Nr. 31. Kraków, niedziela, 8. lutego 1903. Rok II.

KURYER KRAKOWSKI

Przedplata wynosi;
w Krakowie miesięcznie 1 korona
kwartalnie 3 „
na prowincyi miesięcznie 1 k. 40 h.
kwartalnie 4 k.

Ilustrowane pismo codzienne dla wszystkich.

Numer pojedyńczy 8 ct.

Ogłoszenia po 20 hal. za wiersz petitowy.

„Kuryer“ wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych o godzinie 2 popołudniu.

Adres Wydawnictwa:
Kraków, ul. Karmelicka l. 7. — Nr. Telefonu 494.

Redaktor:
KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ.

Ofiara zawodu.



(Opis wewnątrz numeru, str. 9).

Przeciw karciarstwu.

Donosiliśmy już o liście pasterskim ks. arcybiskupa Stablewskiego przeciw karciarstwu. Dziś podajemy z niego wyjątki:

„Nie mogę twierdzić — mówi arcybiskup — że gra w karty zawsze jest wprost złą i grzechem; dla prawego chrześcianina i szczerego katolika atoli nie jest ona zakazaną jedynie wtedy, gdy bez uszczerbku dla innych swych obowiązków, odbywa się dla rozrywki i zabawy, a nie dla zysku przeważnie, czyli, gdy się odbywa bez stawki pieniężnej, lub o małe, drobne sumy. Niestety, nie zawsze się tego przestrzega. Dochodzą mnie wiadomości o ludziach, dzięki Bogu nielicznych, którzy poczynają grę karciarską uprawiać właśnie i jedynie dla grubych zysków, przechodzących wszelką miarę godziwości; dzieje się to regularnie w tak zwanych grach hazardowych, ale dzieje się i w innych grach karciarskich, zwanych towarzyskiemi, co to napozór nie noszą na sobie owego wstrętnego charakteru hazardu, a przecież w swej smutnej doniosłości mało, albo raczej wcale od niego się nie różnią...“

List pasterski roztrząsa dalej zgubne skutki nałogu, pod formą zabawy, uprawiającego „wyzysk i rozbój“.

„Z karciarstwem łączy się zwykle rozpróżniaczenie, lenistwo, nawet wprost wstręt do wszelkiej poważnej, pożytecznej myśli i pracy, do której Bóg nas wszystkich bez wyjątku stworzył. Na marne idzie złoty czas, tępieją i marnieją ze szczętem zdolności, a umysł jałowieje, jak rola zaniedbana, która, zamiast dobrego owocu, wydaje tylko chwast i zielsko samolubstwa i niskich popędów. Łączy się z tem bardzo często wyziębienie wszelkich szlachetniejszych uczuć. Łączy się dalej z karciarstwem prawie nieuchronnie nadużywanie napojów, które zwolna, a nieubłaganie przeradza się w pijaństwo z wszelkiemi tegoż obrzydłemi, zgubnemi skutkami. Łączą się nieuniknienie, jak gdyby mocą jakiegoś prawa, karzącą prawicą Bożą nakreślonego, liczne swary i pojedynki, dochodzące do skandalów publicznych, okrywających niesławą społeczeństwo, do którego gracze należą, kłótnie i procesy, pociągające za sobą, obok zaciętej nienawiści, rozdwojenie stron, ujmujących się za jednym, lub za drugim.

„Dawniej mówiono, że szlachectwo wkłada obowiązki szlachetnych czynów, czy na polach bitwy w obronie ojczyzny, czy w Radzie narodu, czy na innych posługach dla świętej sprawy. Czyżby dzisiaj to pojęcie tak miało upaść, synowie zacnych ojców tak skarleć i spodlić się, że szukają wawrzynów sławy w karciarstwie!? Niestety, z góry zawsze idzie przykład. Dochodzą mnie wiadomości, że i w mieszczaństwo nasze, które tak chlubnie wzbija się w górę i pracą i inteligencyą, poczyna się wkradać rak karciarstwa i gry. Mówią o tysiącach przegrywanych, uważają to za rodzaj wyższości, podczas gdy wypala to piętno hańby szulerstwa na ich czole i słuszną pociąga wzgardę wszystkich rozumnych ludzi dla tej ich namiętności, gdy naśladują z wyższych stanów to, czem im dawniej sami w oczy rzucali“.

Arcybiskup zaleca duchowieństwu, żeby ostro i bezwzględnie przeciwdziałało karciarstwu i popierało działalność Towarzystwa, mającego na celu zwalczanie tego zgubnego dla społeczeństwa polskiego nałogu.

Skromne uwagi.

XXIII.

Ani kroku naprzód.

Nieszczególna jest dola nauczycieli, nauczycielek i korepetytorów naszych! Opłacani (stosunkowo do kosztów, poniesionych na swe wykształcenie) nadzwyczaj mizernie, traktowani są w wielkich domach pobłażliwie, a wogóle są na planie ostatnim: łokiej, trener, zdolny kucharz, kamerdyner, bona cudzoziemka — lepiej stokroć są wynagradzani, a akuratność w wypłacie im pensyi zasługuje na miano iście wzorowej.

— Nauczyciela, nauczycielkę, korepetytora zawsze znaleść z łatwością można! — uspokaja swe sumienie chlebodawca.

Nie należy przypuszczać, że tak dziać się poczęło dopiero obecnie. O! nie! P. Wł. Korotyński wydobył w tych dniach na jaw z pyłu bibliotecznego wspomnienie historyczne o Erazmie Gliczneize, uczonym polskim z XVI wieku. W jednem z dzieł uczonego spotykamy taki zarzut:

„Ma pan ociec pieniądze na co inszego, ma na piwo i na ubiory, ale ich nie ma dla nauczyciela. Przez wszystek kwartał nie chce odbyć. Nie wchodzi w to, że nauczyciel z tego żywie, z tego sobie księgi i odzienia sprawuje. Drugi nie umie też szanować człowieka, któremu na wychowanie dziecię swoje powierzył. Za szyszkę waży sobie nauczyciela; woli psy głaskać, muskać, a konie tuczyć. W większej u niego wadze palacz albo stróż, niż człowiek uczony, który mu syna na dobre życie uczy...“

Trzy wieki upłynęło już od skreślenia tych słów, a społeczeństwo nasze pod względem traktowania wychowawców dzieci swoich ani kroku nie posunęło się naprzód ku lepszemu!... Dojrzeliśmy na punktach wielu i pozbyliśmy się błędów przeszłości; tylko biedni nauczyciele, nauczycielki i korepetytorzy nie mają jakoś szczęścia.

Wallenrod konserwatywny.

O konserwatystach krakowskich czytamy ciekawe uwagi w korespondencyi do „Dziennika Poznańskiego“. Przytaczamy parę ustępów:

TOMASZ BACSÓ.

6) Przez

MAURYCEGO JOKAJA.

(Dokończenie).

Wtedy powiedział Władysław:

— Postawię wam trzech świadków, którzy mię z pewnością poznają, a tymi świadkami będą trzej bracia Bacsó. Odszukam ich wśród walki i jeśli wtedy ujrzycie ich przerażenie, gdy mnie zobaczą, jak najodważniejszemu z nich wypadnie z ręki szabla, gdy ją skrzyżuje z moją, czy uwierzycie mi wtedy, że ja jestem tym, którego o-ni pogrzebali?

Los chciał, że pierwszym świadkiem, którego zobaczył Władysława, był Bernard i tego poraziło w chwili, gdy, zamierzając składać fałszywą przysięgę, rękę jego zbrodniczą pochwycił ten, którego uważał za umarłego i pogrzebanego.

Gdy go w tej postaci odesłano do zamku, przelękli się jego bracia. Bernard nie mógł ani mówić ani skinąć, tylko patrzył na nich bezmyślnie i bełkotał, a jedynym ruchem jego podniesionej ręki było drżenie, które zdawało się grozić wieczną karą. Nikt nie był w stanie domyśleć się, co się stało? co jest temu człowiekowi? Niezmierny przestrach ogarnął wszystkich; straże opuściły szańce i poczęły uciekać z zamku.

Wtedy Samson powziął rozpaczliwe postanowienie. Późno wieczorem zwołał swoich ludzi, spoił ich mocnemi winami i namówił, ażeby w nocy zrobili wycieczkę, a przerzedziwszy szeregi nieprzyjaciół, którzy będą rozdzieleni naokoło zamku, mogą się połączonemi siłami przebić i umknąć do Polski.

Tomasz tymczasem kazał spakować na wozy swoje skarby i ustawił na murach zamkowych połowę załogi, ażeby, nim brat będzie sobie torował drogę u bramy, mógł i zaalarmować oblegających, a odciągnąwszy ich uwagę przy zdarzającej się sposobności do ucieczki, zdołał pospieszyć za bratem z tylną strażą i skarbami.

Plan ten wykonano. Niebo ciemne było i chmurne. Po północy zaszedł księżyc i równocześnie począł się zrywać silny wicher, wśród którego zmarł ruch powstały w zamku.

Ta pora najlepsza do rozbójniczych walk — rzekł Salm, który w nocy osobiście obszedł wszystkie straże, gdy nagle blask strzału działowego przerwał ciemność i tuż ponad jego głową świsnęła kula, wystrzelona z baszt.

— Naprzód wiedziałem, że ta noc nie obejdzie się bez walki — rzekł dowódca, i szybko uszykował swoje szeregi, zastawiając niemi każdy wychód zamkowy.

Na murach zamkowych zaczęły huczeć wszystkie działa — tam na górze rozbójnicy bębnami i trąbką narobili tak wielkiego hałasu, jak gdyby zamierzali na wszystkie strony robić wycieczkę, a tymczasem oddziały Samsona zeszły się w największej cichości aż do podnórza zamku i tam nagle bez wydania ze siebie jednego słowa, rzucili się na stojących przed nimi wojowników.

Dowódca zbójów z rozpaczliwą odwagą rzucił się między szeregi swych przeciwników, w ręku miał topór o dwóch ostrzach, którym, trzymając go w obydwóch rękach, wokoło siebie siekł, kogo natrafił; zaskoczeni żołnierze już poczęli mu ustępować, straszna jego postać przewyższała wszystkich walczących o głowę, a czasem i o dwie, gdy stojącemu przed nim ściął głowę. W kilku chwilach rozbity został oddział, który napadli rozbójnicy i przed nimi otwarta była droga w góry, już słychać było skrzyp wozów, które Tomasz Bacsó prowadził za swym bratem i w zamku umilkły działa, gdy nagle mały oddział, co do liczby ledwie w czwartej części tak silny jak rozbójnicy,

„Jak rej wodzące w konserwatywnym obozie jednostki nie rozumieją sytuacyi w kraju, jak niezręcznie dla rozwoju idei konserwatywnej sobie postępują, tego dowodzi dyskusya o demokracyi, wszczęta w tych dniach w naszym konserwatywnym organie. W chwili, gdy idea demokratyczna w całym kraju olbrzymie robi postępy, kiedy z inteligencyi najwyżej 10 proc. nie do demokratycznej przyznaje się barwy, w chwili, kiedy cała młodzież przejmuje się demokratycznemi hasłami, a wśród mas ludowych budzi się coraz większa świadomość równouprawnienia, potrzeba i ochota do brania udziału w życiu publicznem, w chwili tej neokonserwatywny polityki głosi *urbi et orbi*, że „demokratyzowanie się polskiego społeczeństwa jest tylko „złudzeniem", ba, co więcej, uważa „demokratyzacyą polskiego społeczeństwa dziś za przedwczesną, więc za nieszczęście". Darujemy politykowi między innemi tego rodzaju dowody na to, iż demokratyzowanie społeczeństwa polskiego jest tylko złudzeniem, okoliczność, że u nas klasyczne gimnazya zawsze jeszcze przyciągają do siebie ogromną większość młodzieży, darujemy mu, że widzi klasyczny przykład demokratyzowania się społeczeństwa w Atenach, gdzie $^3/_4$ ludności były pozbawione wszelkich praw, nawet ludzkich, najzabawniejsze jest atoli, że swoje twierdzenia powtarza w tym samym organie, w którym przed kilku miesiącami, przed wyborami do rady miejskiej, czytaliśmy: „Dziś demokracya jest sygnaturą chwili i każdy z nas być musi demokratą". Neokonserwatyści chcą uchodzić i bywają poczytani za powagę katolicką, to też niemiłą była dla nich niespodzianką encyklika Leona XIII o demokracyi chrześciańskiej.

Wtedy ten sam zdaje się polityk twierdził, że ta demokracya chrześciańska odnosi się tylko do spraw ekonomicznych, do zakładania różnych stowarzyszeń robotniczych bez barwy politycznej. Wykazano mu na podstawie urzędowych pism Kuryi, że głoszona przez Ojca św. demokracya odnosi się w całej pełni do politycznych spraw. Mimo to nazywa neokonserwatywny polityk demokratyzowanie się społeczeństwa polskiego nieszczęściem w piśmie, bądź co bądź, katolickiem, w tej samej chwili, kiedy podczas noworocznych życzeń głowa kościoła katolickiego zaleciła krzewienie ducha demokracyi katolickiej. Korespondent zaznacza, że w tym duchu objawiła się w Krakowie działalność, a kto ją uważa za „nieszczęście"? Oto p. polityk neokonserwatywny, który wypływał na falach najradykalniejszej demokracyi. Konwertyci polityczni bywają zwykle fanatykami, ale nic bardziej idei zdrowej tak bardzo nie szkodzi, jak fanatyzm. To też idei demokracyi chrześciańskiej, iście niedźwiedzią usługę wyświadczył neokonserwatywny konwertyta, robiąc ze stronnictwa, mającego pozyskać wszystkie żywioły ładu i porządku w kraju, fanatyczną sektę polityczną, odstraszającą swem doktrynerstwem i ciasnotą najchętniejszych i najdzielniejszych pracowników.

Niedziw więc, że każdy nieuprzedzony, autora artykułów o demokracyi w Galicyi w krakowskim organie konserwatywnym musi nazwać Wallenrodem konserwatywnym, tem więcej w chwili obecnej, kiedy i w zarządzie miejskim obsadzanie najintratniejszych posad przez neokonserwatystów budzi w sferach nawet konserwatywnych niechęć, a w szerokich warstwach oburzenie. — Jest to najlepszy sposób do skompromitowania konserwatystów wśród ogółu i do przygotowania pewnego zwycięztwa socyalistycznym radykałom w mieście.

Wiadomości polityczne.

— Poseł Wojciech Dzieduszycki przemawiał wczoraj w Izbie posłów, po pośle Chocu, i jak zwykle długo, ale.. bez treści. Dziwnym jest zaiste fakt, że Koło polskie, liczące tylu członków, jego wybrało za swego rzecznika w sprawie tak ważnej, jak jest zmiana regulaminu obrad tej Izby.

Mówca przytaczał tego rodzaju argumenty, iż nikt ze słuchaczy nie mógł sobie wyrobić pojęcia, czy jest przeciw, czy za zmianą regulaminu obrad.

Raz powiedział w ten sposób:

„Wielkiem nieszczęściem, ale może nie największem, jest to, że nasze mowy nie trzymają się w tonie przystojnym. Jeszcze niebezpieczniejszem jest jednakże, że w Izbie zdarzają się także gwałty, że przy pomocy gwałtów uniemożliwia się obrady i powzięcie uchwał przez Izbę, że nietykalności poselskiej, która miała służyć do podniesienia powagi i do zapewnienia wolności słowa, nadużywa się z jednej strony do poniżania powagi posłów wobec ludu, a z drugiej do umożliwienia wolnego wypowiadania zdania przeciwnikom, a nawet do tego, by Izbie odebrać wolność i swobodę podniesienia większości do mocy ustawy. — Ale pomijając te gwałtowne sceny, które stanowią jedyny przykład w życiu parlamentarnem i honoru nie przynoszą temu zgromadzeniu, przy pomocy regulaminu bez gwałtu uniemożliwia się załatwienie tego, do czego parlament przedewszystkiem jest powołany t. j. załatwienie najważniejszych przedłożeń".

Potem, szeroko się rozwodząc, prawił mówca o konwersyi renty państwowej, a przytem oświadczył, że z utrudnieniem konwersyi połączone jest utrudnienie kredytu w naszem państwie, z czego wynika wielka szkoda dla ludzi prywatnych (!).

Zakończył zaś w ten sposób swoje wielkie przemówienie:

---

z wielkim pośpiechem nadleciał na czele z dowódcą swym wysokim rycerzem, który zobaczywszy Samsona, już zdaleka na niego zawołał:

— Czekaj Samsonie, mam słówko do ciebie.

— Choćby i dwa — krzyknął Samson, który już siedział na swym wojennym koniu i wyciągnąwszy swój miecz, puścił się na spotkanie napastnika.

Towarzysze jego, którzy nie podołali z nim razem lecieć, widzieli z daleka, że, gdy Samson zbliżył się do wyzywającego, tenże podniósł zasłonę swego hełmu, na co rozbójnik rozpaczliwy wydał okrzyk, padł na wznak w siodle i, nie podnosząc na swoją obronę miecza, na uderzenie wyzywającego rycerza z rozciętą na dwoje głową spadł z konia.

Na to w jednej chwili obrócili się rozbójnicy i, co sił starczyło, pędzili do zamku, porywając ze sobą idącego za nimi Tomasza, który porzucił swoje wozy i swoje uratowanie zawdzięczał tylko tej okoliczności, że pogoń zatrzymała się przy wozach i ludzie ci, dzieląc się skarbami, pozostawili mu czas do ucieczki.

Ze śmiercią Samsona odwaga opuściła rozbójników. Nikt nie myślał o obronie, a tylko o sposobach ucieczki. Tomasz przekonał się, że tu nie może pozostać nawet tygodnia, a chcąc się uratować, chwycił się rozpaczliwego sposobu.

Kazał powiedzieć dowódcy, że, jeżeli mu zapewni ułaskawienie, odda zamek, wyda swe skarby i puści na wolność pozostającą w jego mocy Maryę, na wypadek odrzucenia zaś jego prośby, każe Maryę zamknąć do najgłębszej kryjówki i zamek wraz z sobą wysadzi w powietrze.

Wysłaniec długo nie wracał z odpowiedzią; oczekiwał go do wieczora, czekał do północy i gdy jeszcze nie było odpowiedzi, powziął piekielne postanowienie zamordowania dziewicy przedtem, niż sam zginie. Udał się do niej i oznajmił jej, że musi umrzeć, aby się więc przygotowała i powiedziała, jaką śmiercią chce zginąć.

Rozpacz niekiedy dobre poddaje myśli. Marya prosiła swego mordercy, aby jej pozwolił u trumny narzeczonego zginąć śmiercią głodową. Wiedziała dobrze, że stamtąd może ujść skrytym chodnikiem.

Bacsó zgodził się na jej żądanie, chwyciwszy za rękę, sprowadził ją do grobowca, a obracając klucz w ciężkich, żelaznych drzwiach, odezwał się do niej z goryczą:

— Pozdrawiam Władysława, gdybyś odemnie prędzej umarła, powiedz mu, że niebawem spotkamy się w piekle.

Wtem otworzyć chciał drzwi, gdy nagle uczuł, że drzwi ktoś ze środka pcha na zewnątrz.

Z przerażenia włosy stanęły mu do góry.

Drzwi same się otworzyły, a w nich ukazał się blady młodzieniec, z mieczem w ręku, a za nim zbrojni.

— Nadszedł dzień sądu, Bacsó! — krzyknął młodzieniec na herszta zbójców.

Ten ostatni z nieludzkim krzykiem rzucił się na ziemię, tracąc z przerażenia przytomność.

— Ten ostatni jest ostatnim świadkiem, że ja jestem Władysławem Tornallyay — rzekł Władysław, wskazując na leżącego do zbrojnych, których tajemnym chodnikiem wprowadził do zamku.

— A czwartym świadkiem jestem ja — rzekła drżąca Marya, upadając na łono zmartwychwstałego narzeczonego.

W godzinę zamek Murány był w ręku wojsk rządowych, Bacsó na rusztowaniu, a Marya na łonie swego narzeczonego.

Koniec.

„W komisyi, którą mamy wybrać, powinno się postępować z całą bezstronnością, spokojem, cierpliwością i poświęceniem, aby parlament dopomógł do wydostania się z niebezpieczeństwa grożącego konstytucyi państwa i wolności. Obowiązkiem rządu, któremu zależy na wydobyciu z wielkiego niebezpieczeństwa państwa, jest wpólnie pracować. Członkowie Koła polskiego niczego nie zaniechają, coby mogło stworzyć porządek i będą wszystkiego unikali, coby stwarzało nowe trudności dla reformy regulaminu, odpowiadającego celowi".

Następnie generalny mówca *contra*, p. Stransky, oświadczył, że, jeżeli ma się z silną wolą przystąpić do pracy w komisyi, to należy usunąć wogóle wszelką możliwość obstrukcyi. Inaczej zmiana regulaminu niema żadnego sensu. Obstrukcya jest polityczną niemoralnością, politycznem wymuszeniem. Właśnie ci, którzy obstrukcyi nie chcą z ręki wypuścić, występują za usunięciem § 14, tej jedynej „klapy bezpieczeństwa" przed obstrukcyą; bez niej ustałoby życie publiczne i nastąpiłaby ruina państwa. Wreszcie zaś powiedział: „Chcemy zrezygnować raz na zawsze z obstrukcyi, jeżeli to samo uczyni lewica. Jeżeli my w chwili niebezpieczeństwa chcemy pomódz państwu, możemy też uczciwie i otwarcie utworzyć w Izbie większość. A ponieważ większość taka w swych ramach pragnie równouprawnienia ludów austryackich, ponieważ jest przedstawicielką i to jedyną idei austryackiej, ponieważ reprezentuje polityczną moralność i równouprawnienie, nie damy sobie prawa utworzenia tej większości odebrać w tej chwili, gdy mamy ku temu ochotę, wolę i możność".

Generalny mówca *pro*, p. Schleicher, podniósł, że nie wystarcza wykluczenie możliwości obstrukcyi, bo Izba musi się również podnieść pod względem moralnym i obyczajowym.

Na wniosek p. Skene wybrano komisyę z 48 członków, której przydzielono wszystkie wnioski o zmianę obrad regulaminu Izby.

Najbliższe posiedzenie Izby odbędzie się we wtorek 10 b. m.

— Z Petersburga telegrafują do „Słowa" warszawskiego że, JE. Madeyski zamieścił w „Kraju" artykuł wstępny o sporach narodowych w Austryi. Autor jest zwolennikiem jedności państwowej i autonomii miejscowej. Nieskończone pertraktacye są bezcelowe. Zdaniem autora, albo parlament powinien przeprowadzić ustawy ugodowe, nie oglądając się na wyborców, albo też sam rząd powinien wprowadzić odpowiednią ustawę, załegnywującą spory narodowościowe, którą ludy w Austryi przyjmą napewno w milczeniu. — Artykuł JE. Madeyskiego może być interesujący, ale aż telegrafować o jego pojawieniu się, to jedynie reklama dla „Kraju" na własny koszt p. Piltza uskuteczniona.

O Zakopanem.

(Dokończenie).

P. Wojciech Szukiewicz opisuje dalej orgie młodzieży warszawskiej na weseliskach góralskich i wyprawy po góralki na hale i połoniny. „Dzicy" zatruli moralność ludu góralskiego, a wśród „dzikich" znajdowali się „panowie, obdarzeni fantazyą poetycką", którym wieś już nie wystarczała i którzy szukali przygód pseudo-romantycznych w szałasach juhasów.

„Do tej wielkiej sumy złego przybyło jeszcze jedno, wysoce znamienne, polegające na tem, że „białe kobiety" miejskie uprawiają flirt z góralami, których uważają za równie ponętnych dla siebie, jak gdyby byli co najmniej aszantami. Różne sentymentalne i nieumiejące szanować się gęsi i gąski mizdrzą się do Jaśków, Wojtków i Bartków, ubiegając się o ich łatwe zresztą do zdobycia względy i przewracając im w głowach w bardzo skuteczny sposób. Skutkiem tego obłędu wytworzyła się w Zakopanem klasa miejscowych donżuanów, uprawiających flirt z pannami miejskiemi, jako sport, i powstała nawet mała kronika skandaliczna, która opowiada wiele ciekawych rzeczy o tych pseudo-miłosnych sprawach. Panny miejskie zapraszają tych wiejskich dandysów na herbatki do domu i prowadzą ich na poczęstunek do cukierni, fotografują się z nimi w najczulszych i zarazem najgłupszych pozach i nie kryją się z tem wcale, a w razie choroby którego z tych błaznów odwiedzają go w domu, pełnią na wyścigi dyżury, znoszą łakocie i tak dalej, wreszcie nawet sprowadzają do Warszawy, goszczą u siebie w domu, dopuszczając do całkowitej poufałości. Nietrudno pojąć, jak bardzo ujemny wpływ na serca i charaktery górali musi wywierać podobne zachowanie się panien miejskich, które nie chciały pozostać w tyle poza paniczami i, skoro tamci popsuli góralki, one postanowiły popsuć górali.

„Tak oto zabawia się Warszawa podczas lata u stóp starego Giewontu, ku szkodzie żywiołu miejscowego, już gruntownie zepsutego, fizycznie i moralnie zarażonego".

Pan Władysław Rabski, czytając powyższy ustęp w „Kuryerze Warszawskim" dodaje od siebie:

„Nie znam wprawdzie Zakopanego tak dokładnie, jak p. Wojciech Szukiewicz, który przez długie lata bawił u stóp Giewontu, ale spędzałem tam przez kilka lat z rzędu wakacye i roszczę sobie pretensyę do pewnej znajomości stosunków. Na podstawie tej znajomości śmiem twierdzić, że o ile prawdziwie trafną jest charakterystyka chciwości góralskiej, o ile słuszna jest krytyka głupiego sentymentalizmu i poufalenia się warszawiaków i warszawianek z góralami, o tyle owa Sodoma, o której pisze p. W. S., wydaje mi się skąpaną w barwach zbyt jaskrawych, niezgodnych z rzeczywistością. Że zdarzały się i zdarzają wybryki młodzieży miejskiej, że dzieje erotyzmu warszawskiego na tle góralskiem mają sporo ciemnych kartek, tego nie zaprzeczam, ale żeby Zakopane miało być jakimś wielkim jarmarkiem rozpusty, to stanowczo „między bajki" włożyć się ośmielam. Oburzenie uniosło p. W. S. i zawiodło go w krainy fantazyi".

Tyle p. Rabski.

My ze swojej strony również uczynimy małą uwagę. Jest pewna przesada w tem, co podaje p. Szukiewicz, ale jest i wiele prawdy. Niesłusznem jednak według nas jest zwalanie całej winy na warszawiaków i warszawianki. Musimy stanowczo przeciw temu zaprotestować, bo moglibyśmy, gdyby wypadało, opisać cały szereg faktów, dowodzących, że i nasi galicyjscy panowie i nasze galicyjskie panie nie są bez winy. Tylko owa „Warszawa" więcej zwraca na siebie uwagę, bo więcej przywozi pieniędzy, głośniej się bawi, bo wreszcie weszło w modę przypiąć łatkę Warszawie.

KRONIKA.

Kraków, 7 lutego.

Kalendarzyk. Dziś Romualda op. Jutro Jana. Pojutrze Apolonii i Cyryla b.

Dziś o godz. 8 rano — 1·5° C.

Repertoar teatru miejskiego w Krakowie.

W sobotę (przedostatni występ p. H. Modrzejewskiej) „Rodzinne gniazdo".

W niedzielę o godz. 3 „Mieszczanie". (Ceny zniżone do połowy). — Wieczorem (ostatni występ p. H. Modrzejewskiej) „Wiele hałasu o nic", kom. w 6 obr. W. Szekspira.

Oświadczenie. Wobec licznych „interpelacyj" i „interprelacyj", jakie mnie dochodzą z powodu korespondencyj z Krakowa, pomieszczanych w „Słowie Polskiem", oświadczam, iż od dwóch miesięcy, z powodu braku czasu, współpracownictwo moje w tym dzienniku ograniczyłem do pisania kronik tygodniowych. *Kazimierz Bartoszewicz.*

Z kwarantanny, jaką zarządzono w schronisku brata Alberta dla tych, którzy stykali się tam z tyfoidalnie chorym robotnikiem, zbiegli Antoni Bochenek i Stanisław Josefi. Sprzykrzyła się im widocznie niezbyt zresztą miła rola „zadżumionych", więc „urządzili nogę" i to tak zgrabnie, że policya do tej pory niezdołała ich jeszcze wyśledzić.

Jest to wypadek bardzo przykry i w skutkach groźny, gdyż tyfus może się rozwlec dalej po mieście. Obława za zbiegami została zaraz urządzona.

Program obchodu styczniowego w „Gwieździe" zapowiada kilka rzeczy nowo pomyślanych, a zastosowanych bardzo dobrze do wyrozumień pełnych podniosłych obrazów. Nie idzie o to, aby bawić słuchaczów, ale aby jak w mglistych obrazach pamięci, przesunąć przed oczy „dzisiejszych" ludzi, owe postacie, spieszące do walk i ofiar, owe poświęceń wzniosłych czyny, owe katowanie niewinnych przez rozbestwione żołdactwo... Nie stać „Gwiazdę" na wspaniałe obrazy — ale w skromnym zarysie uczucia skromne i szczere mogą przemówić i serca rozczulić... Jako część wokalną stanowić będą pieśni powstańcze i obozowe, śpiewane wówczas wśród lasów i puszcz — jako deklamacya — będzie wygłoszony wiersz z r. 1865, nader pięknie przypominający męczenników ostatniej walki. Wieczorek odbędzie się 15 lutego. Bliższy program wkrótce będzie ogłoszony. Mamy nadzieję, że sfery rękodzielnicze i mieszczańskie wezmą liczny udział w tym obchodzie.

Na balu Towarzystwa ratunkowego będzie obecny marszałek krajowy hr. Andrzej Potocki, który przyjeżdża w tym celu dziś o 10-tej wieczór. Pan marszałek zaraz jutro powraca do Lwowa.

Podwawelanie zapowiadają na jutro, w niedzielę dnia 8 b. m., o godzinie 3, nader obfity program: śpiew Chóru akademickiego; grę na fortepianie kol. Mecnarowskiej i Czai; utwory dramatyczne i obrazki prozą kol. Korwina-Kochanowskiego,

i deklamacyę Mickiewiczowskiego „Farysa“ przez kol. Warnińskiego.

Przedstawienie na dochód funduszu emerytalnego aktorów naszej sceny, przyniosło 5.365 kor. 46 halerzy, a po strąceniu kosztów w kwocie 1.273 kor. 2 hal., uzyskał fundusz emerytalny 4.092 kor. 44 hal.

Jan Kubelik, głośny skrzypek, który pojawi się w poniedziałek na estradzie „Sokoła“, urodził się w Michle pod Pragą, jako syn ubogiego ogrodnika. Otrzymawszy w 5 roku życia w podarunku od „panicza“ skrzypki dziecinne, wygrywał na nich godzinami całemi, co zwróciło uwagę otoczenia na niezwykły talent „cudownego dziecka“. W 8-ym roku życia wstąpił do konserwatoryum w Pradze — w 16-ym roku ukończył je z medalem i poszedł w świat zarabiać na chleb dla owdowiałej matki i braciszka.

Z trzema guldenami w kieszeni wyrusza do Wiednia i tu przy pomocy usilnych starań udaje mu się otrzymać występ: zastępstwo chorego amatora, w klubie cyklistów, na miesięcznym wieczorku.

Pierwszy występ zmienia się w tryumf, czyniący z nieznanego debiutanta gwiazdę pierwszej wielkości.

Gra w kilka dni później w sali Bösendorfera wobec tłumów i krytyki, witającej go okrzykiem: »*Paganini redivivus*«.

I zaczyna się wędrówka po środowiskach artystycznych Europy i Ameryki. Zewsząd sypią się hołdy, ordery, zaszczyty, dary pamiątkowe. Syn ubogiego wieśniaka zbiera w ciągu lat kilku fortunę milionową.

Czytaliśmy o nim niedawno:

„A teraz jakie czary wywiera na publiczności ten piękny marzycielski młodzieniec, który w 24 roku życia stanął u szczytu sławy, o którego grze porywającej krążą legendowe niemal opowieści. Przedziwny jego Stradivarius umie podobno płakać na rozkazy młodego mistrza, ale przedewszystkiem ma olśniewać, oszałamiać, porywać błyskotliwością zawrotnej techniki, graniczącej z „czarnoksięstwem“.

Pytanie tylko, czemu Kubelik na afiszach jest wciąż 16-letnim młodzieńcem. A może i te „czary“ są blagą, a przynajmniej przesadą.

Kraków w Warszawie. Chór męski krak. Towarzystwa muzycznego wystąpi w dniach 14 i 15 lutego w koncertach Filharmonii warszawskiej, pod kierunkiem dyrektora Wiktora Barabasza. Odnośne pozwolenie władzy już uzyskane.

Z aury. Wczorajszy deszczyk nastraszył się widocznie krytyki naszej i wieczorem przestał padać. W nocy mieliśmy z kolei jednostopniowy mróz, który nad ranem zmienił się w mały przymrozek. Gdy jednak z mgły, a mgła rankiem spowiła nasze miasto, zabłysły promienie słonka, chodniki i ulice pokryły się znów „wilgocią“, jak mówi świetny magistrat; błotem, jak twierdzi nasz sprawozdawca.

Biuro korespondencyjne dziennikarskie. P. J. Rychter znany publicysta, otworzył na mocy uzyskanego od władz pozwolenia — pryw. Biuro korespondencyjne dziennikarskie w Krakowie.

Lokal Biura mieści się przy ul. Poselskiej l. 15.

Z Tow. „Trzeźwość“. Pierwsze publiczne zgromadzenie Tow. przeciwalkoholicznego „Trzeźwość“ odbędzie się d. 8 b. m., w niedzielę o godz. 4, w sali Rady miasta Krakowa. Porządek dzienny: 1) dr. med. Wrzosek: Wpływ alkoholu na zdrowie: 2) dr. med. Wł. Gumplowicz: Alkoholizm i kwestya społeczna; 3) Organizacya abstynentów. Wstęp bezpłatny.

W Rynku głównym jutro w południe koło wieży ratuszowej przygrywać będzie muzyka 56 pułku piechoty pod osobistem kierownictwem kapelmistrza p. Marka. Program obejmuje: „Paunel“, marsz p. Marka. „Przybycie gości na Wertburg“, wyjątek z opery „Taunhauser“. Aryę z „Halki“ Moniuszki. „Polkę-mazurkę“ p. Rippera i Fantazyę operową p. Smetany.

Książeczkę Kasy Oszczędności na kwotę 10.000 koron skradziono p. Janowi Pękalskiemu z kieszeni marynarki, która wisiała w niezamkniętym pokoju w domu pod l. 30 przy ul. Zwierzynieckiej.

Rozprawa o obrazę czci Gustawa Węgrzyna przeciw odpowiedzialnemu redaktorowi „Naprzodu“ p. Kazimierzowi Kaczanowskiemu, naznaczona na 11 lutego, nie odbędzie się, ponieważ... oskarżyciel znikł i ani sąd, ani policya nie może odkryć miejsca jego pobytu.

Śmierć w pojedynku. Odnośnie do notatki, którą pod takim napisem zamieściliśmy w wczorajszym numerze, musimy zaznaczyć, że w żaden sposób nie można zasięgnąć autentycznych dat co do śmierci ś. p. Taniewskiego. Czy zmarł on po operacyi w parę godzin — jak to donoszą jedne pisma — czy podczas, lub zaraz po operacyi, tego dociec nie można, bo personal lekarski kliniki chirurgicznej podaje jak najsprzeczniejsze wiadomości. W jednem godzą się wszyscy, a mianowicie w tem, że śmierć nastąpiła skutkiem t. zw. „embolii tłuszczowej“.

Po zgruchotaniu kości przez kulę, szpik dostał się do krwi i zatkał naczynia krwionośne, skutkiem czego nastąpiło wprost uduszenie, zwane w wypadku podobnym embolią.

Sekcya zwłok, jaka zostanie dokonaną, najlepiej wykaże, co było istotną przyczyną śmierci, zwłaszcza, że wśród laików krążą wieści o zakażeniu krwi podczas operacyi.

O ile wieści nie są mylne, sekundantami ś. p. Taniewskiego byli krakowianie: dr. K. i p. S., obaj rezerwowi oficerowie.

Z tego powodu, tak samo, jak i dlatego, że wyzywający i jego zastępcy byli oficerami w czynnej służbie, prokuratorya państwa nie wszczyna nawet dochodzeń śledczych.

Wiadomo bowiem, że w wojsku austryackiem istnieje przymus pojedynkowy.

Klinika prof. Kadera. Korespondent krakowski „Dziennika Poznańskiego“ pisze co następuje:

Prof. Kader, mający ambicyę postawienia kliniki swej na wysokości dzisiejszych wymagań naukowych, a ożywiony głębokiem uczuciem humanitarności, czynił i czyni wszystkie starania, aby zaprowadzić w swej klinice wszystkie udoskonalenia nowoczesne, aby jak największej ilości cierpiących przyjść z pomocą. Pod względem aseptyki i czystości, dalej udoskonaleń w przyrządach i aparatach nie ma we wschodniej Europie, a może i w Austryi zakładu, któryby się mógł mierzyć z zakładem krakowskim. Osiągnął ten stan prof. Kader tylko w ten sposób, iż często nie oglądał się na budżet. Skutek zaś tego był ten, iż rząd koszta na wprowadzenie innowacyi każe płacić czcigodnemu prof. z jego własnej pensyi. W wiedeńskich szpitalach w każdej sali czuwają po 3 dozorczynie, u nas musi wystarczyć 1 sługa za 12 koron miesięcznej płacy. Ponieważ jest fizyczną niemożliwością, by jedna osoba mogła opatrywać bez wytchnienia 12—15 chorych we dnie i w nocy, wobec skąpstwa rządu trzeba było ograniczyć liczbę chorych, trzeba było ulokować na jednej sali po 20 i więcej osób, by tylko uzyskać 2 osoby do obsługi. Podobne stosunki panują i w innych klinikach dla skąpstwa rządu. A mimo to głosi się jeszcze o wielkiej życzliwości rządu dla nas. Gdzież są reprezentanci nasi we Wiedniu? Najsmutniejszem jest zaś, że ludzie tej pracy, tej sumienności i poświęcenia, co prof. Kader, napotykają na opór w swych szlachetnych i humanitarnych dążnościach we własnych kolegach w senacie, który zamiast popierać u władzy usiłowania mające na celu polepszenie doli nieszczęśliwych i maluczkich, z małostkowych i niskich względów niejednokrotnie sami stawiają przeszkody. Postępowanie to budzi niechęć nawet w sferach uniwersyteckich, a oburzenie u ogółu przypomina mimowoli Abderę.

Dzięki naszemu Blowitzowi (czytaj: reporterowi) dowiedzieliśmy się, że raporty policyjne z ubiegłej nocy nie zawierają nic, coby było godnem uwagi i zamieszczenia w łamach naszego pisma.

Czy wierzyć temu? Ha trzeba wierzyć, bo i prywatne nasze informacye nie wykryły nic ciekawego, z wyjątkiem faktu, że mieszkańcy ulicy Długiej noc tę spędzili spokojnie, gdyż nie było tam żadnej bitki, ni awantur. Jeśli zaś na błogosławionej w takie wypadki ulicy panowała grobowa cisza, to bezwątpienia i w całem mieście był spokój.

Dowcipny. Było to w jednej z tutejszych restauracyi — gdzie musimy przemilczeć, aby nie posądzono nas o robienie reklamy tej jadłodajni.

Do sali zapełnionej gośćmi, drżącej szmerem cichych rozmów, wsunął się poważny jegomość z sumiastym wąsem, z typową twarzą prowincyonalnego właściciela wioski. Zrzucił sławucką bundę, siadł przy stole „podparł się w boki, jak basza“, mówiąc słowami Mickiewicza, i ryknął tubalnym głosem:

— Kelner!

— Do usług pana dobrodzieja — zawołał wyfraczony młodzieniec, przysuwając się jakby z obawą wśród tysiąca ukłonów do zamaszystego gościa, na którego wszyscy zwrócili już uwagę.

— Kotlet cielęcy!...

— Z przyjemnością...

— Dyabła tam! z z i e m n i a k a m i!...

W sali zahuczał śmiech homeryczny. Dowcip, choć z prowincyi, znalazł uznanie w naszej humorystycznej stolicy.

Aż do Ameryki! Dr. Roman Barącz, docent chirurgii na uniwersytecie lwowskim przybył wczoraj do naszego miasta z Chicago, gdzie bawił ostatniemi czasy. Jak się dowiadujemy dr. Barącz przyjechał do Ga-

licyi tylko dla uregulowania interesów, i zaraz powraca na drugą półkulę, gdyż uniwersytet w Chicago ofiarował mu u siebie katedrę chirurgii.

U Goldsteina. Aktorzy sceny krakowskiej urządzają ucztę na cześć p. Heleny Modrzejewskiej w handlu delikatesów p. Goldsteina!

Cudowny lekarz. Przed krakowskim trybunałem apelacyjnym karnym toczyła się rozprawa przeciw Felicyanowi Jakóbowiczowi. Z zawodu krawiec, przybył tu jako żyd w r. 1894 i przeszedł na wiarę katolicką. Kupił kawałek gruntu w Rybitwach i wkrótce zasłynął wśród włościan, jako cudowny lekarz. W „Wieńcu-Pszczółce" ks. Stojałowskiego ukazała się korespondencya, zachwalająca wiedzę lekarską tego sprytnego neofity. Władze kilkakrotnie musiały wkraczać przeciw Jakóbowiczowi w interesie pokrzywdzonych włościan. Przy rewizyi znaleziono u Jakóbowicza list, w którym jakaś służąca z Krakowa, zwraca się do „WPana doktora" o pomoc. Okazało się, że Jakóbowicz leczy ludzi na „porażenie", na „zimno", że badał mocz, który mu przynoszono we flaszeczkach z kilku okolicznych powiatów. Środki lekarskie, których używał, były bardzo proste: woda zawapniona, używana do płukania flaszek, odwar z ziół zalany octem, dalej lekarstwo zwane przezeń: „konserwa z różnych gatunków mąki do robienia zupy wojskowej". Od swych pacyentów, którzy najczęściej gromadzili się u niego w domu wśród tajemniczych ciemności nocy, brał pieniądze. Trybunał apelacyjny potwierdził wymierzoną Jakóbowiczowi przez sąd pierwszej instancyi karę jednomiesięcznego ścisłego aresztu.

Kradzież. Dzisiejszej nocy niewyśledzony na razie złoczyńca wypiłował w okiennicy sklepu p. Kretschmerowej w Rynku głównym otwór, wsunął się przezeń do wnętrza sklepu i skradł różne towary na sumę 400 koron.

Albo — albo.

To trudno!... albo być na zabawie tak wystrojoną, ażeby zwrócić uwagę, albo nie być wcale. Wolę się nie bawić, jak mieć to przekonanie, iż będę na szarym końcu.

— Co innego słowa drukowane, a co innego czyn. Pisać o oszczędności łatwo, ale wykonywać to w życiu trudno. Albo zastawić się i postawić się, albo zamknąć się w domu, jak w mysiej dziurze i koniec.

— Albo panna zrobi los, gdy będzie bywała w „lepszych towarzystwach", albo wyjdzie za mąż za jakiego biedaka rękodzielnika, jak jej matka... dlatego trzeba się decydować na jedno z dwojga.

— Albo się ożenię z bogatą, albo z żadną, bo tu wyboru nie ma. Więc pokazać się trzeba „jak należy" — hucznie i buńczucznie... szyk i humor, a co jestem to mniejsza.

— Albo teraz, albo nigdy... jedno z dwojga... Pożyczkę się odda ratami, w sklepach się popłaci, a gazety o tem nie napiszą co się winno, tylko to napiszą, jakie były stroje i kto królował.

Tak sobie teraz ludziska radzą i bają, a na boku stoi chuda, koścista i głodna Bieda, zacierając ręce z radości.

— Albo ja stąd kiedy będę wypchnięta? szepce drżąc z zimna...

— Albo mi tu zabraknie kiedy poczciwców, co się pod moje berło pochylają?

— Albo to oni wiedzą, czem mię wyganiać? hi! hi! hi!... Co się trochę jako tako podtuczyli, teraz wszystko przehulają... ho! ho!... postara się!... Ani wszystkie redakcye razem tylu wiernych nie mają, co ja, i myślą, że mię wyploszą...

Bieda idzie ulicami, a mamusie i panniusie powiadają: — Albo pokazać się nad inne, albo siedzieć w domu...

A na to jakiś dziwak zuchwały:

— Albo mieć rozum — albo nie!...

Pewna.

Polszczyzna w adresach. Polacy zwykli czynić w dziedzinie korespondencyi niezwykłe ustępstwa cudzoziemcom, nawet wtedy, gdy ci ostatni potrzebują nas, n. p. jako odbiorców. Anglik zna tylko New York i taką lub owaką *street* (n. p. Marshallstreet). — Francuz zna tylko tylko Paris i *rue* (rue Singer, rue du Docteor Blanche) — Niemiec zna tylko Wien lub wogóle tylko niemiecką nazwę miejscowości (nawet w polskiej prowincyi!), i taką lub owaką *Strasse* (Mariahilferstrasse, Karlstr. i t. d.), — a czech — słowian — zna przedewszystkiem Praha a w nawiasie: Prag. Lecz polak, stosownie do okoliczności, mieszka à Cracovie lub in Krakau, na *Grande place*, (rynek główny — !) lub przy *Schusterstrasse* — ba, choćby przy *Grodgasse* (Grodzka ul.) lub *Florianerstr.*, itd. — Czy i Grodgasse ma być po niemiecku, niech odpowiedzą sami Niemcy. — My tylko chciejmy wierzyć, że cudzoziemiec, umiejący bez błędu napisać „Chrząszczyński" i wogóle pisać ą, ę, ł, itp. odrębne nasze głoski, zdoła napisać i polski adres; a biedni nasi listonosze, o ile wiem, nie są obowiązani rozumieć po francusku (jak Grande place) lub w innym języku tłumaczonych pobytów (adresów). *Dr.*

Smutne dzieje granda hiszpańskiego, który wciąż uświetniał swoje nazwisko coraz nowemi przydomkami, aż wreszcie dostał bzika.

Służący zameldował mi „jakiegoś pana z dumnem wejrzeniem i pogardą na ustach".

Rzekłem skwapliwie:

— Mam bardzo pilną pracę, lecz cóż robić, proś.

Na progu stanął mężczyzna wyniosły i wiotki. W jednej ręce trzymał gitarę, w drugiej cigarillos. Przez ramię miał przewieszony ogon, zdobyty w walce byków.

— Z kim mam zaszczyt?

— Jestem grandem hiszpańskim pierwszej klasy — mówił gość. — Nazywam się don Roderigo, Maria, Fernando, Lopez...

— Owszem — zawołałem — i ja mam w domu kalendarz, lecz pragnąłbym wiedzieć nazwisko...

Hiszpan tupnął nogą.

— Nie lubię, gdy mi ktoś przeszkadza w rekomendacyi. Otóż, co miałem powiedzieć... na czem ja to stanąłem? Aha, przypominam sobie, Lopez, Juan, Mauritio de los Palmas de Portorico, y Quebracho y Capustos...

Spojrzałem na zegarek.

— Szanowny panie, za dwie godziny przyjdzie chłopiec z drukarni po rękopisy... Możeby się pan streścił?

Lecz mój gość na prośby moje nie zwracał uwagi. Głęboko westchnąwszy, recytował w dalszym ciągu:

Y Capustos, y Fredamosa de los Olivos, Parmezano, Quodlibaty y Madagascar y Colibris, Miguelas de los Tramdaradas y Campanilla...

Wtedy zacząłem go szarpać za ramię, co bynajmniej nie mogło nakłonić tego człowieka do milczenia. Na wszelkie prośby, przedstawienia i błagania, nie przestawał być zimnym i twardym głazem.

Przywołałem żylastego sługę, barczystą kucharkę i zręczną nad wszelkie pojęcie pokojówkę. Wspólnemi siłami usiłowaliśmy rozbroić szlachetnego cudzoziemca. Innemi słowami, miałem gorącą chęć zakneblować mu usta.

W końcu, „rekomendującego się" bez przerwy i bez miłosierdzia, odwiozłem do lekarza psychiatry, starca siwowłosego, przez którego przemawiała sama mądrość wraz z doświadczeniem.

Po uważnem i pilnem zbadaniu pacyenta, lekarz, właściwie doktór medycyny, narzucił na niego kaftan szaleńców i nakazał siepaczom zakładowym, aby umieścili go w podziemnym oddziale dla „przydomkowych".

I gdy już załatwił się z moim gościem, wezwał mnie do gabinetu prywatnego i usadowił w miękkim fotelu.

— Choroba nazwisk z rozmaitemi przydomkami — dawniej znana jedynie w ciemnej i zacofanej Hiszpanii, obecnie, chwała Bogu, zawitała do nas i dziesiątkuje ludność tutejszą. Zarazie, o której mowa zawdzięczam właśnie mój olbrzymi majątek. Na świecie ludzkość doszła do przekonania, że nic tak skutecznie nie rozwija i nie wzbogaca, jak praca. My, w znacznej jeszcze części hiszpanie północy, jesteśmy innego zdania. Zdaje się nam mianowicie, że samo nazwisko, odziedziczone po przodkach, jest niczem i że wtedy dopiero nabiera znaczenia, gdy mu przyprawimy łeb: „de Przepiórka" i ogon w rodzaju „Mysi królik," „Samowar," „Pudełko" i t. d.

Przed trzydziestu laty, pani Michalina Hopsztycka była poprostu Michaliną Hopsztycką. Dziś gdy mąż jej zrobił pieniądze na pożyczkach na budowę kamienic, podpisuje się nie inaczej, jak: „Agawa-Pulcheria z Robaczków na Szalikach de Hopsztycka z Hopsztyc Wielkich".

Dzisiaj byle jaki Kanarek, Pantofel, Telefon lub Mikadziński, umarłby ze wstydu,

nie dolepiwszy sobie przydomka, w rodzaju: „Lufcik,“ „Konewka,“ „Tramtarada“ i t. p.

Wczoraj przyprowadzono mi obłąkanego nieuleczalnie Krokodylskiego, inkasenta ze składu podwiązek dziecięcych. Mania tego nędzarza polega na przyczepianiu do swojego nazwiska rodowego jedynastu przydomków, w rodzaju: „*von* Pietruszka, *de* Ptak“ i t. d.

Nie myśl pan, że to mnie obraża lub martwi. Przeciwnie, specyalista od chorób przydomkowych też musi żyć, gromadzić posag dla córki, uczęszczać na bale publiczne i co lato wysyłać ukochaną żonę do Marienbadu. I owszem i owszem, niech się ludziska przezywają całym łańcuchem wyrazów oderwanych.

Znakomita powaga lekarska uprzejmym ruchem głowy dała mi do zrozumienia, że posłuchanie było skończone.

— Pan wybaczy, lecz tam w poczekalni oczekują na poradę rozmaite Ady, Fiuty i Dzidzie z Gawronów Butersznyckie, oraz słynny z uczciwości szewc Koziczek, który w ostatnich dniach, pod wpływem szaleństwa, dodał sobie „von der“. *X.*

Trzy rozwiązania. Sąsiad mój nademną, na trzeciem piętrze, ma czworo dzieci. To szczęście sąsiada jest nieszczęściem dla mnie. Od rana do wieczora, bez przerwy, bez odpoczynku, dziatwa biega, skacze, tupie, maszeruje, aż trzeszczy w mej biednej głowie.

Wziąłem na odwagę i poszedłem do sąsiada.

— Panie, na miłość Boską, uspokój pan swoje dzieci. Piekielny hałas, jaki sprawiają, nie pozwala mi pracować, życie mi zatruwa!

— Hm! — odparł spokojnie sąsiad. — Cóż ja na to poradzę? Robaczki potrzebują ruchu, a mnie hałas nie przeszkadza... Ale mam myśl. Pod panem, na pierwszem piętrze, jest mieszkanie do wynajęcia, droższe od mego o sto reńskich rocznie. Jeżeli pan zapłaci mi różnicę, przeprowadzę się natychmiast i dziatwa przeszkadzać panu nie będzie.

Spojrzałem na sąsiada, jak na waryata.

— Widzę, że takie rozwiązanie kwestyi panu się nie podoba — mówił dalej sąsiad z niezmąconym spokojem — mam inne. Hałasowi możnaby zapobiedz, pokrywając podłogę w dziecinnym pokoju dywanem. Mnie, jak już mówiłem, to niepotrzebne, ale jeśli pan gotów ponieść koszta, urządzę to dziś jeszcze i bardzo tanio. Za piętnaście reńskich... Zresztą od pana, za dziesięć!

Wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami. Po dłuższym jednak namyśle, posłałem sąsiadowi dziesięć reńskich. Mój spokój i moja praca warta więcej.

Nazajutrz byłem najszczęśliwszym na ziemi człowiekiem. Hałas ucichł, tylko od czasu do czasu słyszałem głuche odgłosy stąpań, tłumionych dywanem, ale te mi nic nie przeszkadzały.

Odżyłem i postanowiłem podziękować sąsiadowi osobiście. Gdy wszedłem do jego mieszkania, ujrzałem przez uchylone drzwi, że w pokoju dziecinnym nie było ani śladu dywanu.

— Gdzież dywan? — zawołałem wzburzony.

Sąsiad odparł najspokojniej w świecie:

— Przecież panu idzie o wyniki, nie o środek. Hałasu pan nie słyszy, prawda? A widzi pan, znalazłem inne jeszcze, trzecie rozwiązanie... Kupiłem wszystkim czworgu dzieciom po parze pantofelków filcowych... *Wzięty.*

Jak się da, to się zrobi (Czytaj wczorajszy artykuł pod tym tytułem). W sprawie Lifschutza i tow. o łapownictwo zapadł wczoraj po południu we Lwowie wyrok, uwalniający wszystkich oskarżonych od winy i kary. Co do głównego oskarżonego, Lifschutza, zastrzegł sobie prokurator zażalenie nieważności.

Sprawa ks. Ludwiki saskiej wikła się coraz więcej. Adwokaci jej: Lachenal i Zehme ogłaszają, że Giron opuścił wczoraj wieczorem paryskim pociągiem pospiesznym Genewę i udał się do Brukseli, do swej rodziny, gdzie się osiedli. Giron zerwał wszelkie stosunki z księżną Ludwiką, by jej umożliwić obcowanie z dziećmi.

Dziwny zaiste z jego strony dowód bezstronności i... bezinteresowności.

Długi Humbertów. Książki Hombertów, prowadzone przez Fryderyka H. samego, wykazują 78 milionów niepokrytych pasywów. Cyfra ta nie odpowiada wszakże faktycznemu stanowi długów, które wynoszą 115 milionów.

Choroba Krügera. Były prezydent Transwaalu leży ciężko chory na zapalenie płuc w Mentonie. Zdaje się, że jest to już tylko powolne dogorywanie; sędziwy pacyent opada szybko z sił. Wogóle, od czasu przyjazdu do Mentony, Krüger ma się bardzo niedobrze i zaledwie raz jeden wyjeżdżał na spacer.

Z opowiadań herszta. Jedno z żydowskich pism żargonowych podaje ciekawe opowiadanie, zasłyszane z ust złodzieja zawodowego.

Złodzieje żydowscy mają zawsze starszego, którego nazywają swoim „rabinem“. On ich uczy kraść, obmyśla sposoby, w zachwyt wprawiające młodszych po fachu. Herszt taki pobiera zwykle największą część „zysków“ i żyje bardzo wygodnie.

Nasz „herszt“ był niegdyś uczciwym, ładnym chłopczykiem, jedynem jego nieszczęściem było to, że miał ojca-niedołęgę, przez co nigdy w domu nie było dosyć nawet chleba suchego.

Kolegom swoim, złodziejom, opowiada taki epizod z dzieciństwa:

„Miałem wtedy lat 8. O godz. 2 po południu powróciłem z „Talmud-toru“ (chederu bezpłatnego) do domu głodny. „Jeść!“ zawołałem, wpadając do izby. Matka wzięła funtowy kawałek chleba, ułamała kromkę i podała mi.

— Daj jeszcze kawałek, mamo! — prosiłem.

— To, moje dziecię, dla Jankla. Jeszcze nie jadł nic dzisiaj.

Nie śmiałem prosić o porcyę Jankla i zadowoliłem się kawałątkiem otrzymanem.

Ale zjadłszy to, nie byłem jeszcze syty. Obmyślałem więc sposoby, jak wydostać jeszcze kawałek chleba, choćby jeden kąsek. Wpadłem więc na szczęśliwy pomysł. Urwałem więc prędko górny guzik od koszuli, i zwróciłem się do matki:

— Mamo, przyszyj mi guziczek od koszuli, to nieładnie tak, widać gołe ciało.

Matka usadowiła mnie i zabrała się do szycia. Ale naprzód przypominam jej:

— Mamo, zaszyjesz mi pamięć (u żydów jest przesąd, że gdy się szyje na kimś, traci on pamięć, bo się ją „zaszywa“; środkiem zaradczym jest żucie czegobądź podczas szycia). Daj mi co żuć.

— Słusznie, synku — odzywa się matka — jesteś bardzo porządny chłopaczek, bo się zastanawiasz. Masz, żuj kawałek... nitki.

Aż mi się słabo zrobiło, gdym usłyszał o tej nitce. Myślałem, że mi matka da kawałek chleba do żucia. Pojmujecie?...

— Nazajutrz obmyśliłem już inny sposób, który mi się udał: ukradłem w sklepiku dwa ciastka...

Król Edward. Depesze doniosły, że monarcha angielski zapadł na influencę. Według dzienników angielskich otoczenie króla Edwarda uważa stan jego za bardzo poważny; zgodnie wszakże z taktyką, prowadzoną w czerwcu r. z., wiadomości ogłaszane publicznie są treści uspokajającej. Choroba nie przyszła nagle, już od ubiegłej soboty leczy króla dr. Laking; zaziębienie jest bardzo silne, a nadewszystko dokuczają królowi bóle reumatyczne, które mogą wywołać zawikłania. Objawy zaziębienia wystąpiły tak ostre w sobotę, podczas jazdy samochodem z Windsoru do Londynu, że król musiał już wracać koleją. Pomimo to w poniedziałek król był obecny na obrzędzie zasadzenia kilku drzew u stóp zamku Windsorskiego, gdyż przyrzekł burmistrzowi, a gdy powrócił do domu, napadły go mdłości i wymioty. Od wycieczki tej nie mogły odwieść króla żadne perswazye.

Żywa mumia. Lekarze szpitala Norfolk w Londynie znaleźli się wobec niezwykłego wypadku, bardzo rzadko spotykanego w rocznikach wiedzy lekarskiej. Jestto człowiek lat 35, który zwolna staje się mumią już za życia. Mięśnie bioder i ramion ma zupełnie skostniałe, a ten sam objaw występuje na mięśniach twarzy. Dotykając jego kości ma się wrażenie tego oporu jak przy dotknięciu marmuru, Człowiek ten nie może poruszać pewnemi członkami, a szczególnie ramieniem prawem. Może on jeszcze tylko podnieść lewe ramię, wyprostowane do góry i skierować dłoń do ust. Chód ma oczywiście bardzo utrudniony. Nogi zesztywniałe stawia niepewnie jedną z drugą. Lekarze są w prawdziwym kłopocie. Nie znają bowiem ani przyczyny choroby, ani lekarstwa na nią.

Głód w Szwecyi. Pomimo wszelkich środków przedsięwziętych dla złagodzenia głodu w Szwecyi północnej, ludność tamtejsza cierpi najstraszniejszą nędzę. Zapomogi napływają rozpaczliwie wolno, gdyż między granicą fińską, a linią kolejową, brak jest wszelkich środków komunikacyjnych. Kobiety i dzieci żywią się mąką żytnią i mlekiem, pochodzącem od wygłodniałych krów. Liczne rodziny jedzą padlinę, spożywszy przedtem paszę, przeznaczoną dla bydła. Zamożni niegdyś wieśniacy tłoczą się dokoła przejeżdżających sani, błagając podróżnych o resztki jedzenia. Szczególnie dotkliwa nędza panuje w okręgu, gdzie mieszkają Lapończycy. We wsi Juckasjarwi 300 osób skazanych jest poprostu na śmierć głodową. Straszne to położenie wywołało też ciężkie choroby wśród dzieci.

Dynamitowy pojedynek. W Ameryce wszystko jest możliwem — ale to czego byli świadkami amerykańscy strażnicy honoru, przechodzi wszelkie granice bezwzględności amerykańskiej. Niejaki p. Clarkson i inżynier Metrokins postanowili mieć pojedynek. Jakież było zdumienie sekundantów, gdy na zapytanie jaką broń wybierają, Metrokins odparł groźnie: dynamit! Wszyscy jednakże zgodzili się na to odrazu, albowiem wszyscy byli rodowitymi amerykanami. I oto w naznaczonej godzinie zjawili się przeciwnicy razem z sekundantami w lasku zamiejskim. Każdy z pojedynkujących miał w kieszeni po pięć nabojów dynamitowych. Sekundanci przezornie wdrapali się na najwyższe drzewo i ztamtąd, zakrywszy się gałęziami obserwowali przebieg walki. Roz-

legła się komenda. Raz, dwa, trzy! Ale pierwsze dwa naboje spaliły się na panewce. Po powtórnej komendzie rozległ się przerażający wybuch. Świadkowie pospadali z drzew jak dojrzałe gruszki pod powiewem wiatru, a gdy na tyle ochłonęli z wrażenia, że mogli się rozejrzeć—nigdzie nie znaleźli straszliwych przeciwników. Znaleźli tylko... kapelusz Clarksona i buty Metrokinsa — wszystko co było pod kapeluszem i wszystko co było w butach zniknęło bez śladu. Ha, cóż robić. Sekundanci spokojnie zapisali w protokóle, że prawom honoru stało się zadość, a potem poszli na kawę i palili dobre cygara.

Drastyczny środek policyjny. Z Nowego Jorku donoszą: Policya tamtejsza chwyciła się drastycznego środka, chcąc oduczyć nowojorskich milionerów od przyjętego przez nich, a dla policyi bardzo niedogodnego zwyczaju, wybierania się na noc bez pozostawienia jakiejkolwiek straży dla pilnowania kryjących nieprzebrane skarby pałaców. Oto policya, włamała się ubiegłej nocy sama do czterdziestusześciu takich pałaców i zabrała stamtąd wszystkie cenniejsze przedmioty we własne przechowanie. Rano, gdy właściciele wrócili, policya zwróciła im ich własność z uwagą, że równie łatwo, jak ona, mogą także dokonać włamania złodzieje, którzyby jednak zabranych skarbów napewno wrócić nie zechcieli.

Śmierć cesarzowej-wdowy chińskiej. „Standard" donosi z Tientsinu, że cesarzowa-wdowa istotnie umarła. Śmierć jej wszakże będzie trzymana w tajemnicy do ukończenia festynów noworocznych. Przypominamy, że cesarzowa-rejentka, Tsu-Hsi, była żoną cesarza Ichu, czyli Hienfenga, zmarłego w roku 1861-ym. Urodzona w d. 17-ym listopada 1834 r., zaczęła grać górującą rolę polityczną w Chinach, z chwilą wstąpienia po śmierci na tron chiński syna jej, cesarza Tsai-szuna. Kiedy tenże zmarł w dniu 12-ym stycznia 1872 r., tron chiński przeszedł na siostrzeńca cesarzowej Tsu-Hsi, dzisiejszego cesarza, Tsajtiena czyli Kwangsi, syna księcia Chuna. Cesarzowa-wdowa sprawowała rządy rejencyjne do d. 4-go marca 1889 r.; wszakże usamowolnienie cesarza Kwangsi trwało niedługo. Od d. 22-go września 1898 r. cesarzowa-wdowa sprawowała znowu regencyę.

Zapiski literackie i artystyczne.

— Zasłużony historyk, Aleksander Kraushar, nietylko jest niezmordowany w przetrząsaniu archiwów i bibliotek, ale ma przytem szczęście. Nikt w ostatnich czasach nie znalazł tylu ciekawych i pierwszorzędnej doniosłości manuskryptów, dotyczących naszej przeszłości.

Świeżo wydany przez niego z autografu biblioteki publicznej w Petersburgu „Pamiętnik Juliana Ursyna Niemcewicza o czasach Ks. Warszawskiego" przez samego Niemcewicza uważany był za stracony. Jeśli się z jego treścią szeroki ogół zapoznać dziś może, zawdzięcza to Krausharowi, który, znalazłszy go między rękopisami biblioteki publicznej w Petersburgu, gdzie zarejestrowany był jako pamiętnik autora bezimiennego z czasów Ks. Warszawskiego, odrazu po charakterze pisma manuskryptu poznał, z pod czyjego pióra wyszły te zapiski.

Na autorstwo to zresztą wskazywała nietylko zawarta w nich wzmianka o godności „sekretarza senatu", jaką Niemcewicza w r. 1808 zaszczycono, ale i sama osnowa pamiętników, ujawniająca szczegóły ważne, pierwszorzędnej doniosłości dziejowej, o jakich mogła była wiedzieć tylko osobistość, bliżej wtajemniczona w arkana ówczesnej polityki zakulisowej i zestosunkowana z ludźmi, stojącymi u steru rządów Księstwa...

Odnaleziony szczęśliwie rękopis Niemcewicza — niezupełnie kompletny — stanowi nieoceniony do historyi Księstwa Warszawskiego materyał źródłowy. Stan ekonomiczny kraju, jego nędza i wyczerpanie, jego przymusowa uległość arbitralnej woli Napoleona (którego Niemcewicz, mimo bezgraniczną, dla bohatera żywioną cześć, bynajmniej nie oszczędza i którego tendencyjnie „Cezarem" nazywa), obraz wyniszczenia kraju, charakterystyka osób: Bonapartego, króla saskiego, jego żony i córki, marszałka Davousta, senatora Wybickiego, Adama Czartoryskiego, wielu dygnitarzy wybitniejszych, obok wielu szczegółów zakulisowych pierwszorzędnej doniosłości historycznej (np. wynurzenia ks. Czartoryskiego przed Niemcewiczem o stosunkach z cesarzem Aleksandrem), znalazły w pamiętniku tym niezwykle jaskrawe oświetlenie, znamionujące w autorze bystrego obserwatora i świetnego opowiadacza.

Bez głosu i bez talentu.

...Śpiewaczka bez głosu, bez talentu, oddająca każdą nutę, jakby naumyślnie fałszywie — śpiewaczka, mimo to zbierająca od dyrekcyi teatru góry złota, a napędzająca do kasy przedsiębiorstwa grubo znaczniejsze sumy, to rzecz niewidziana w świecie o tyle, o ile... historya takiej donny nie ma w sobie „czegoś", co dla ciekawych czyni ją „objektem" godnym widzenia.

Do rzędu takich „gwiazd", które publiczność ogląda li tylko z głupiej ciekawości i którym darowuje ich bezczelność, z jaką bez żadnych warunków ukazują się na scenie, należy siostra sławnej dziś Wilhelminy Adamowiczówny, kochanki Leopolda Wölfflinga, byłego arcyksięcia Leopolda Ferdynanda, „panna" Gusti Adamowicz, jedna z najzwyklejszych szansonistek.



Oglądał ją niegdyś Ołomuniec, dzięki wcale przyjemnej twarzyczce i toaletom, które z kasy dzisiejszego Wölfflinga kupowała jej siostra Wilhelmina; była ozdobą i atrakcyą prowincyonalnych „tinglów", gdzie nie patrzą na sztukę, ale na... kostyumy.

Dziś, dzięki romansowi jej siostry z byłym arcyksięciem, który dla miłości wyrzekł się tytułów i pokrewieństwa z domem panującym, jest atrakcyą jednego z teatrzyków rozmaitości w Berlinie, który dotychczas bynajmniej nie cieszył się napływem publiczności.

Szalona reklama, wysokie ceny i fakt, że panna Gusti jest siostrą tej sławnej Wilhelminy, o której rozpisują się wszystkie dzienniki świata, zrobiły swoje. Mały „tingielek" roi się dziś od publiczności, która chodzi oglądać przyszłą szwagrową Wölfflinga tak, jak chodziła ongiś przypatrywać się cudownym okazom kobiet z brodami i wąsami, lub koniom o dwu głowach w cyrku Barnuma.

Gusti Adamowicz nie odznacza się niczem — jak donoszą dzienniki berlińskie — brak jej głosu, brak słuchu, a twarzyczka jest pospolicie tak piękną, jak buzia pierwszej lepszej „landpomerancy".

Ciekawiśmy tylko, czy obecny p. Wölffling jest zadowolony z tego, że jego przyszła szwagrowa w ten sposób dorabia się majątku, tembardziej, iż młodzież arystokratyczna Berlina traci na nią ogromne sumy, bo... Gusti jest w modzie i niejeden z hrabiów czy baronów chciałby się poszczycić łaskami szwagrowej byłego arcyksięcia.

Z sali sądowej.

(*Patryarchalne stosunki*).

Patryarchalne stosunki, jakie panują w urzędzie autonomicznym Woli Batorskiej, zaprowadziły na ławę oskarżonych Józefa Rerutkę, policyanta tamecznej gminy pod zarzutem zbrodni gwałtu publicznego.

Owóż stało się, iż na posiedzeniu rady gminnej, któremu przewodniczył wójt, Karol Mazur, debatowano długo i szeroko o nadaniu posady akuszerki dwom petentkom. Jedna z nich, córka Rerutki, żądała od gminy 40 kor. miesięcznego wynagrodzenia, druga zaś podejmowała się spełniać tę funkcyę tylko za prywatne honoraryа.

Rerutko, jako reprezentant władzy na zewnątrz, był obecny na tem posiedzeniu i, gdy wyłoniła się kwestya akuszerek, zabrał głos, popierając wymownie podanie swej córki.

Radni z namaszczeniem i powagą słuchali przemowy Rerutki, i tylko pan naczelnik dąsał się nieco, aż w końcu wezwał go do porządku, a gdy to nie pomogło, skonstatował, że gmina ma tylko jednego policyanta, a zatem skoro ów policyant robi zaburzenia, naczelnikowi wypada go za drzwi wyrzucić.

W Woli Batorskiej słowo odrazu w czyn się zamienia. Naczelnik ułapił Rerutkę za kark, Rerutko naczelnika za sukmanę na piersiach i złączeni tak czułym uściskiem obaj wynieśli się wzajemnie z kancelaryi gminnej.

Naczelnik obrażony w swej powadze zrobił doniesienie do prokuratoryi i wczoraj przed tutejszym trybunałem zwykłym, któremu przewodniczył radca Traunfellner, Rerutko odpowiadał, osłonięty skrzydłami opiekuńczemi dra Isenberga, za obrazę władzy i zbrodnię gwałtu publicznego.

Na rozprawie pokazało się, że naczelnik gminy Woli Batorskiej, zamiast z statutem w ręku, jak n. p. u nas dr. Leo, przyzywać „niesfornych" do porządku używał tak parlamentarnych wyrażeń, jak: „stul mordę Rerutko, bo cię za drzwi wyzionę", a oskarżony ani w stylu, ani w treści odpowiedzi nie został mu dłużny.

Ponieważ jednak świadkowie potwierdzili, że Rerutka stawiał przełożonej władzy czynny opór, sąd, nieuwzględniając patryarchalnych stosunków Woli Batorskiej, skazał Rerutkę na miesiąc ciężkiego więzienia.

(*Teściowa zabiła zięcia*).

Odnośnie do wczorajszej naszej notatki pod tym napisem, dodajemy, że po przesłuchaniu całego szeregu świadków i orzeczeń sądowo-lekar-

skich, ława przysięgłych uznała Kokoszkową winną tylko przekroczenia przeciw bezpieczeństwu życia, a trybunał zasądził ją na sześć miesięcy ciężkiego więzienia.

(Zabójstwo na Krowodrzy).

Wczoraj, także przed ławą przysięgłych, stawał Ludwik Paź, robotnik cegielski z Krowodrzy, oskarżony o zabójstwo Franciszka Słoniny, żołnierza obrony krajowej.

Sprawa przedstawiała się w ten sposób, że jeszcze 1-go listopada z. r. Paź wracał do domu wraz z swą kochanką i przyjacielem, gdy po drodze zaczepiło ich kilku żołnierzy, od słów przyszło do bitki, w której Słonina dostał tak potężny cios orczykiem w głowę, że po dziesięciu dniach w szpitalu zakończył życie.

Śledztwo wykazało, że cios ten padł z ręki Pazia. Przesłuchanie świadków trwało bardzo krótko, a gdy przysięgli potwierdzili pytanie co do winy Pazia, trybunał pod przewodnictwem prezydenta sądu dra Morelowskiego, po uwzględnieniu okoliczności łagodzących, wydał wyrok skazujący Pazia na dziewięć miesięcy ciężkiego więzienia.

Skazany zgłosił odwołanie od wymiaru kary.

Oświadczyny u wielkich ludzi.

Jedno z pism angielskich gawędzi o sposobie oświadczyn u wielkich ludzi, dochodząc do wniosku, że i ta czynność odbywa się u nich inaczej, niż u zwyczajnych śmiertelników.

Kiedy Robert Schumann zakochał się w Klarze Wieck, córce swojego nauczyciela, konkury jego nie należały do najłatwiejszych. Ojciec bowiem pięknej Klary nie chcąc mieć ubogiego muzyka za zięcia, zabronił obojgu młodym widywać się z sobą. Ponieważ zaś zakochany Schumann nie mógł także pisywać do ubóstwianej, przeto zamieścił w redagowanem przez siebie piśmie szereg „Listów do Klary". Kiedy zaś nadeszła chwila stanowcza, w obecności ojca wygrał swe oświadczyny na fortepianie, na co mu Klara również za pośrednictwem fortepianu dała odpowiedź potakującą.

Edison miał także oryginalny sposób oświadczyn. Przyszedłszy pewnego dnia do jednej z sal swojej pracowni, stanął za plecami pewnej pięknej telegrafistki, która zatopiła się w pracy. Dziewczę ocknęło się i obejrzało, a ujrzawszy go, powiedziało: „Wiem, że to pan byłeś, panie Edison. Czuję zawsze, kiedy pan jesteś w pobliżu".

Na to odpowiedział Edison ku wielkiemu zdziwieniu dziewczęcia: „W ostatnich czasach bardzo wiele myślałem o pani, i jeżeli mnie pani chce, to się z nią chętnie ożenię". W miesiąc później piękna telegrafistka była już żoną Edisona, czego ani on, ani ona dotychczas nie żałowali.

Słynny dr. Aberenthy załatwił się ze swoją miłością równie prędko jak z chorobami licznych swoich pacyentów. Kiedy raz ujrzawszy miss Annę Threlfall, przyszedł do przekonania, że byłaby dla niego odpowiednią towarzyszką, napisał list do niej bardzo krótki, w którym oświadczył się jej formalnie, dodając, że nie ma czasu na długie bywanie i asystowanie. Odpowiedzi jej oczekuje w przeciągu tygodnia. Odpowiedź ta rzeczywiście nadeszła i była dla śpieszącego się doktora pomyślna.

Oświadczyny malarza Gainsborough były bardzo łatwe. Namalował on portret panny Bure, ślicznej 16-letniej dziewczyny, która tak zachwyciła się swoją podobizną, że twórcy jej zupełnie nie dwuznacznie dała do zrozumienia, iż gdyby zechciał mógłby posiadać oryginał. Łatwo zrozumieć, że genialny portrecista propozycyę skwapliwie przyjął.

Pod względem stałości uczuć nikt nie może się równać z twórcą teoryi utylitaryzmu Jeremim Beuthamem. Jako młodzieniec starał się on o rękę pewnej panny i dostał kosza. W czterdzieści lat później, kiedy ukochana jego owdowiała, ponowił starania, ale znowu bezskutecznie. Jednakowoż i to go nie zniechęciło, bo jeszcze jako 80-letni starzec pisał do młodszej o dziesięć lat ukochanej: „Od dnia, w którym mi pani ofiarowała kwiaty, nie minęła ani jedna godzina, abym o pani nie myślał".

Nikt znowu nie był bardziej stanowczym, niż lord Byron, kiedy pisał list mający go połączyć z panną Milbanke. Starał się on o inną, a kiedy mu odmówiono, powiedział do przyjaciela: „Zdaje się jednak, że ja przecież ożenię się z miss Milbanke; napiszę do niej!" Usiadł i w kilku minutach napisał list, który dał do przeczytania obecnemu przyjacielowi. „Bardzo piękny list — powiedział tenże — szkoda, że nie będzie wysłany". „Przeciwnie, wyślę go natychmiast" — odpowiedział Byron — i rozpoczął najtragiczniejszy rozdział swego smutnego życia.

Ofiara zawodu.

(Do ilustracyi tytułowej).

Serce zamiera w piersiach, gdy pomyśli się o strasznym wypadku, jaki niedawno zdarzył się w fabryce papieru braci Brighthonów w Millwaucke (Ameryka).

Olbrzymi, dwudziesto- metrowej wysokości komin tej fabryki, zaopatrzony jest w żelazne klamry, po których kominiarze dostawali się na jego szczyt, aby dokonać pracy czyszczenia. Od dziesięciu lat, to jest czasu, gdy wzniesiono ten komin, nigdy nie zdarzył się żadnemu kominiarzowi wypadek, nigdy nie pomyślał nikt nawet, aby klamry wmurowane cementem mogły się obluzować, aż nareszcie stało się, co każdy mógł przecież łatwo przewidzieć...

Ząb czasu zniszczył siłę, z jaką wmurowano te klamry, a skutek nie dał długo czekać na siebie. Ofiarą strasznego wypadku padł młody, dwudziestoletni pomocnik kominiarski George Washington Coully, który miał obowiązek czyścić ów komin.

Coully nie przeczuwając nawet, co go czeka, zaczął szybko wdrapywać się po klamrach, gwizdając nawet wesołą piosenkę. Wtem, gdy już był prawie u samego szczytu komina, jedna z klamer, za którą uchwycił się, podnosząc nogę do dalszego kroku, wyrwała się z muru i Coully runął z wysokości piętnastu metrów na ziemię!...

W kilku sekundach u stóp komina leżały już jego zwłoki, będące raczej bezkształtną krwawą masą, niż podobizną zwłok człowieka.

Telegramy „Kuryera Krakowskiego"

z dnia 7 lutego.

Lwów. Na gimnazyum polskie w Cieszynie, jak donosi „Kuryer Lwowski" uchwaliła Rada miasta Grybowa na onegdajszem posiedzeniu zasiłek w kwocie 300 kor.

Lwów. „Słowo Polskie" donosi z Borysławia, iż wybuchła tam epidemia tyfusu brzusznego. Dotąd stwierdzono 8 wypadków.

Zofia. Były prezes gabinetu jedna z najwybitniejszych osobistości politycznych, Karawełów zmarł dziś w nocy na atak sercowy.

Genewa. Adwokaci Lachenal i Zehme wystosowali następujący telegram do radcy sprawiedliwości Körnera w Dreźnie: „Księżniczka Ludwika, która zerwała stosunki z Gironem, życzy sobie bardzo widzieć swojego chorego syna, ks. Chrystyana. Z jej polecenia prosimy pana o wstawienie się u dworu, aby umożliwić następczyni tronu by mogła kilka godzin przepędzić u łoża swego chorego dziecka. Księżniczka Ludwika opuści potem znowu Drezno. Prosimy o telegraficzną odpowiedź".

Paryż. „Figaro" donosi, że pomiędzy Watykanem, a rządem wybuchł poważny konflikt z powodu zamianowania kilku biskupów.

Badajoz (Hiszpania). W kopalni koło Castuera wydarzyła się wielka katastrofa zalania wodą szybów. Liczba osób, które zginęły w kopalni jest dotychczas nieznaczną.

Waszyngton. Sekretarz stanu Hay odbył wczoraj dłuższą konferencyę z angielskim ambasadorem Harwertem, który prosił sekretarza, imieniem połączonych mocarstw, by wobec tego że Bowen nie zdaje się być przekonanym o słuszności pretensyi mocarstw, prezydent Roosevelt objął pośrednictwo w sprawie zatargu wenezuelskiego. Roosevelt, zawiadomiony o tem odbył posiedzenie z członkami gabinetu, poczem odmówił żądaniu Harwerta. Skutkiem tego zatarg będzie prawdopodobnie oddany sądowi rozjemczemu w Hadze.

Bloemfontein. Dewet wraz z 40 innymi burami, należącymi do partyi radykalnych holandczyków, odbył z Chamberlainem 2 godzinną konferencyę. Na konferencyi tej przyszło do burzliwych scen. Dewet zarzucił Chamberlainowi, że rząd angielski nie dotrzymuje warunków pokoju. Chamberlain odparł z oburzeniem ten zarzut i nie chciał przyjąć adresu, który miano mu wręczyć.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca:
Kazimierz Bartoszewicz.

NADESŁANE.

(Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi i Redakcya nie przyjmuje za nią żadnej odpowiedzialności).

Podziękowanie.

Wielmożnemu Panu Drowi Henrykowi Kowalskiemu, docentowi hygieny w c. k. Seminaryum naucz., lekarzowi c. k. kolei państw. i sądowemu w Tarnowie, za wyleczenie mnie z ciężkiej słabości kataru płuc, oraz za staranną i umiejętną opiekę składam przynajmniej na tej drodze serdeczne podziękowanie „Bóg zapłać"

wdzięczny *Ludwik Kotschy* z rodziną.

Tarnów, 5 lutego.

Drukarnia A. Koziańskiego w Krakowie.